ZIPORA NAHIR

ur. 1930; Hrubieszów

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, okres powojenny
Słowa kluczowe	Lublin, okres powojenny, Komitet Żydowski, powroty Żydów do Lublina, żydowski sierociniec w Lublinie

Żydowski sierociniec w Lublinie (1944-1945)

Kiedy dzieci wyszły z kryjówek, z lasów, z różnych miejsc i również z naszego obozu, zaczęli myśleć w tym Komitecie Żydowskim, że trzeba dać im jakieś pomieszczenie i znaleźć odpowiednich opiekunów. Bo te dzieci, pisano nawet w tej książce też, którą wspomniałam, że mówiło się o tym, że te dzieci wyglądają normalnie. Po jakimś czasie, już jedliśmy trochę, uspokoili się trochę, dostaliśmy trochę ubrań. Ale te dzieci są charakterystyczne pod dwoma względami… Pierwsze, te dzieci nie mówią o sobie. Ja do dziś nie wiem co robiły inne dzieci. W miarę jak ich spotykałam, nikt nie pytał skąd przyszedłeś, kim jesteś? Poza imieniem nikt nic nie wiedział. Skąd pochodzi. Nie, że ktoś ukrywał, ale po prostu to było takie przecięcie rzeczywistości, że to co było, nawet się o tym nie myślało, ani o tym się nie mówiło. Dzisiaj jestem w tym dziecińcu, tu zaczyna się moje życie. Wszystko co tam… nic. Nie, że było czy nie było, czy dobre czy złe, czy płacze czy nie płacze. Dzieci potem wszystkie i płakały, jak się starali ich dogadać, to mówiły. Ale między sobą myśmy nie mówili, nie rozmawialiśmy o tym co było przedtem. I kiedyś, i wcześniej, i krótko przed wyzwoleniem. Nie mówiło się o tym. A druga rzecz, te dzieci nie umiały się śmiać. Po prostu, myśmy rozmawiali, myśmy mieli bardzo dobrych wychowawców. Bo w międzyczasie rozbiegła się ta fama, że są dzieci i jest sierociniec. Myśmy byli pierwsi. Jest jakiś sierociniec z dziećmi żydowskimi. I było dużo ludzi. O, niedużo, ale znaleźli się ludzie, którzy byli wychowawcami. Nawet tacy z sierocińca Janusza Korczaka, którzy byli u niego i dowiedzieli się, że są takie dzieci. I przyszli, żeby być z tymi dziećmi, żeby zwrócić im trochę uśmiechu. I zaczęli się nami zajmować i myśmy utworzyli tam taki samorząd, na wzór domu dziecka Korczaka. I tak ten samorząd funkcjonował, ponieważ dzieci nagle czuły się… Nie ponieważ, ale w tym systemie dzieci czuły się nagle ważne, pożyteczne, odpowiedzialne, ludzkie. I to było nadzwyczajne.

Pierwsze nasze miejsce, które ja pamiętam i które jeszcze nie było systematyczne, jeszcze nie było urządzone, ale przede wszystkim jeszcze zbierało dzieci, to było

mieszkanie na ulicy Radziwiłłowskiej 3, o ile pamiętam, na trzecim piętrze. Tam ja przede wszystkim pamiętam dwie siostry. To były takie, zdaje się, stare panny, one były same. Byli inni też. Ale ja pamiętam szczególnie te dwie kobiety, które nas obejmowały. Dały nam dużo ciepła. Dały nam dużo serdeczności. Kochały nas. To było dla mnie, dla nas, dla mnie, ja mówię „my", bo trudno było oddzielić jednego od drugiego. Myśmy byli jak gdyby jedną grupą, bardzo splątaną. I one dały nam jakieś nowe wyrażenia, które nam nic nie mówiły wpierw. Tak jak uśmiech, tak jak pocałunek, tak jak obejmowanie. To było na tej Radziwiłłowskiej. To była mała grupa i to była bardzo indywidualna miłość do każdego dziecka. Potem, z czasem to się powiększyło i przeszliśmy wtedy na Krakowskie Przedmieście 60. Tam mieliśmy całe piętro, może dwa piętra. I wtedy grupy zostały podzielone według wieku.
Kto mógł, chodził do szkoły. To się stało bardziej takie uporządkowane. Tak jak powinien być jakiś formalny dom dla dzieci. Przyszła wtedy, znana później, ja myślę, pani Natanblutowa, ona była kierowniczką. Nie wiem jak ona została uratowana, ale ona przez lata była kierowniczką tego właśnie sierocińca i ona zbierała bardzo dużo pierwszych dowodów od dzieci. Ja nie przypuszczam, że ja tam gdzieś dałam jej moją opowieść. Przede wszystkim ja jej nie lubiałam. A po drugie, ja znalazłam swoich rodziców.
Ten pierwszy adres o którym mówiłam, na Wyszyńskiego, to był… ja pamiętam, że była jedna duża sala i tam były łóżka. I ludzie przychodzili i odchodzili, niekoniecznie dzieci. Tylko po prostu ludzie, którzy przyjechali do Lublina i widocznie nie mieli pierwszego miejsca. Nie było jeszcze urządzone żadne stałe miejsce dla przybywających. Przychodzili, wychodzili i modlili się. To był jak gdyby taki zajazd. Ale nie więcej. Więcej niż to, ja nie pamiętam. Ale to nie było stałe miejsce. Radziwiłłowska już to było urządzone dla dzieci. Z twarzą, powiedzmy, z obliczem na przyszły dom. Był bardziej zorganizowanym takim tym. Ale Wyszyńskiego większość dzieci nie znało, bo większość dzieci przyszło później, jak to już było zorganizowane. To tylko my, ta garstka pierwsza, tam byliśmy.
A na Radziwiłłowskiej, ja myślę, że tam były dwa czy trzy pokoje wszystkiego. Może trzy pokoje. Ja pamiętam, że to było na trzecim piętrze, bo trzeba było przynosić ze sklepu jakąś dostawę. I zawsze się wołało naszych chłopców, żeby pomagali wnosić to na górę, że trzeba było się wspinać gdzieś. Pamiętam, że było czysto. I te dwie nasze opiekunki. Ja pamiętam te dwie kobiety, zdaje mi się, że one robiły wszystko. Obiady dostawaliśmy gdzieś z innego miejsca i dlatego trzeba było wszystko nosić pod górę. Ale one, zdaje się, pracowały, robiły, to były dwie siostry, bardzo wykształcone, ale robiły wszystko w tym domu, że szorowały podłogi, podawały, wszystko. Jak byliśmy później na Krakowskim Przedmieściu, tam już były funkcje podzielone. Zresztą były wychowawczynie i były pomocnice, i był gabinet lekarski, i była już cała hierarchia wychowawcza. Na Radziwiłłowskiej to byliśmy jak taka duża rodzina. Czy mała grupa, która pomagała jedno drugiemu. Nie, nic nie było podzielonego, ale ja pamiętam, że tam było czysto, było miło i byliśmy bardzo, jakby

to powiedzieć… pożądani na tym miejscu. To znaczy, było staranie o nas. Ale jakie dokładnie warunki… Pamiętam, że było miło. Czy mieliśmy więcej czy mniej, czy lepsze czy gorsze warunki, to tego nie pamiętam. Ale to było miłe miejsce. Czy były tam jeszcze inne instytucje, to nie wiem. Myśmy po prostu byli dalecy od tego. Jeszcze nie byliśmy zupełnie skoordynowani z normalną sytuacją, ja myślę, ludzi. Wtedy to wszystko było jakieś dosyć dziwne. Na Wyszyńskiego na pewno, to wiedzieliśmy. Ale zdaje się, że na Radziwiłłowskiej też. To jakoś trochę był jakiś sen, jakieś pół-marzenia, jakieś coś… Ja pamiętam, że tam się wchodziło po drewnianych, kręconych schodach. Ale czy przedtem było przejście z bramy… Nie pamiętam. Zdaje się, że była od razu jakaś klatka schodowa. Nie pamiętam.
W tej drugiej siedzibie, na Krakowskim Przedmieściu 60, to tam przede wszystkim były podzielone grupy. Znaczy były malutkie dzieci, średnie i nasza grupa. Było dosyć miejsca. Było dosyć miejsca na taką świetlicę, była jadalnia, były sypialnie. Łóżka urządzono, ale nie tak ściśnięte jeden koło drugiego. Było dosyć przestrzeni. Ja nie pamiętam, żeby brakło miejsca. I szczególnie był taki duży pokój, w którym można było siedzieć, odrabiać lekcje, czy malować, czy rozmawiać. Były nasze zebrania tam. Było miejsce. To znaczy, było takie centrum. No i mieliśmy taki szpitalik, ale nie tam, tylko na innej ulicy. Taki szpitalik, no jak dzieci były chore. Ale ja nie pamiętam ulicy, ale to nie było tam. To była jakaś poboczna ulica i tam był taki nie szpital, ale jak dzieci były chore i były choroby, to się było tam. A ja pamiętam, że ja sama leżałam tam jakiś tydzień czy coś. Tylko prosiłam kogoś, żeby pilnował moje rzeczy. To znaczy ja nie pamiętam czy były tam jakieś prywatne szafki czy coś, chyba nie bardzo.
Jakie miałam wtedy rzeczy? Nie wiem. Chyba nam dzielili to wszystko. Ale ja miałam mój pamiętnik, który pisałam. Na pewno nie chciałam, żeby go ktoś zobaczył. Były, były pewne rzeczy. Nie dostaliśmy od nikogo… nie było rodziny. Ale jak się otrzymało jakieś, powiedzmy… Nie wiem naprawdę jak to było z ubraniem. Czy to była jakaś komuna, czy każdy miał swoje prywatne i jak się to prało, tego nie pamiętam. To ja właśnie nawet pamiętam z tego pierwszego okresu, jak jeszcze byliśmy pod opieką Czerwonego Krzyża, zdaje się, i my byliśmy sami, to ja sobie sama prałam mój pasiak i w takiej misce uczyłam się jak to prać… Sama sobie myłam włosy, też w misce, nie było żadnych innych urządzeń. Ale na Krakowskim Przedmieściu, ja myślę, że warunki były stosunkowo nie różne od ogólnych warunków jakie były w mieście. Nie wiem dokładnie czy mieliśmy jaką łazienkę, jak myliśmy się, nie pamiętam. Ale nie pamiętam, że była jakaś atmosfera braku. Dostawaliśmy posiłki. Ja nie wiem czy gotowali u nas, chyba tak. Na Radziwiłłowskiej nie, ale na Krakowskim Przedmieściu już było dużo dzieci, na pewno była kuchnia też. Nie przypominam sobie, że przynosili jakieś duże pojemniki z jedzeniem. To było na Radziwiłłowskiej. Nie pamiętam, że tak było później też.

Data i miejsce nagrania	2017-07-05, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Transkrypcja	Marta Tylus
Redakcja	Maria Radek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"